

V-0100/3

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



No 83.

Prenumerata w Warszawie: Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 15 kwietnia 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie: Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. Koperka oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Kielich mszalny z kościoła w Kamienicy (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Józef Drzewiecki (dokończenie). — Posąg Mickiewicza w Poznaniu (z drzeworytem). — Kaplica nad grobem generała Weissenhoffa (z drzeworytem). — Ubiory niewiast polskich z XVI i XVII wieku (z drzeworytem). — Przegląd piśmiennicy. — Więsz do... — Młodość, uczucie, wiek dojrzawy. — Ruiny zamku w Mirowie (z cynkotypem). — Szachy i Rebus.

KIELICH MSZALNY Z KOŚCIOŁA W KAMIENICY.

Gdy przed dziewięcią blisko wiekami wprowadzenie religii chrześcijańskiej przeważnie na oświatę ojczyny naszej wpłynęło, bez wątpienia i sztuki piękne, choć mało może, ale samoistnie rozwinięte, musiały uledeć wpływowi Zachodu. Duchowieństwo chrześcijańskie, chcąc utrwalić posady nowo wprowadzonej wiary, musiało niszczyć i zaciierać wszelkie ślady pogaństwa. Wtedy zniknęły świątynie, bożyszczka, ołtarze, powoli zapomniano dawnych obrządków; a przybory do nich zaginęły; dziś zaledwie że grób świeżo odkryty, lub kilka obojętnych więrszy w obcym kronikarzu, podają nam ślady wyższego, niżby się z razu zdawać mogło, rozwinięcia sztuki na całym obszarze ziemi naszej.

Przyznać jednak winniśmy z drugiej strony, że to samo duchowieństwo, które tak żarliwie niszczyło wszelkie pogańskie pamiątki, przechowało nam jedyne prawie u nas zabytki sztuki, do pierwszych wieków chrześcijaństwa odnoszące się. I tak przejrzymy na przykład *Wzory sztuki średniowiecznej i Albumy wystaw starożytności*, a znajdziemy tam wcale nie szczupły szereg ciekawych i cennych zabytków, z których tak o stanie sztuki u nas, jako i o odrębnych, swojskich jej cechach powziąć można wyobrażenie i zacząć formować zdanie. Pokaże się wtedy że wszystkie zabytki z pierwszych wieków chrześcijaństwa przechowały się w kościołach i ich skarbcach; duchowieństwu więc naszemu należy się za to wdzięczność. Nietylko skarbcie przy stolicach biskupów, jak: krakowski, płocki, włocławski, wzbogaciły nasze wiadomości pod tym względem, ale i pojedyncze kościoły zawierają nieoszacowane skarby sztuki. Tak jeden kościół w Trzemesznie dostarczył trzech kielichów mszalnych z X i XI wieku.

Nie z tak odległych czasów i nie tak ważny pod względem archeologicznym przedstawiamy obecnie kielich mszalny, ze skromnego kościoła w Kamienicy pod Zakroczymiem w parafii kroczeńskiej. Przy wykonaniu przyborów kościelnych trzymano się w każdym wieku pewnych zwyczajem uświęconych form; i kielich niniejszy w ogóle od nich nie odbiega, lecz zabytki sztuki średniowiecznej mają to do siebie, że się prawie nigdy nie powtarzają w zupełności. Rzemieślnik cechowy ówczesny miałby sobie za ubliżenie, gdyby mu kazano te same ozdoby na tysiącach egzemplarzy niewolniczo powtarzać. Nie znano jeszcze wtedy terażniejszych sposobów fabrycznych, wykony-

wano sumiennie sztukę po sztuce, w każdej następnej starając się coś wydoskonalić, upiększyć. Prowadziło to częstokroć do przeladowania ozdobami, ale nie zacieralo w wyrobach uroku sztuki.

Wracamy do naszego kielicha; jest on srebrny, złocony, wysokości 0,220 metra, styl jego gotycki w ogóle, niektóre jednak ozdoby, n. p. otaczające podstawę, zbliżają się bardzo do stylu odrodzenia, pochodzi więc z końca XV wieku. W okoto czary kielicha znajduje się gotyckimi głoskami wryty napis: *Johannis de Thworkowo canonici et offic (ialis) vilnen (sis)*. Środek rękojeści podzielony na sześć części mocno wy-



KIELICH MSZALNY Z KOŚCIOŁA W KAMIENICY. (Rys. Polkowski, ryt. w drzeworytni Tyg.)

stających, z których każda, czworobokiem zakończona, ma na sobie wrytą głoskę gotycką. Głoski te dają imię *Ihesus*. Spód, również na 6 części podzielony, przedstawia na płaszczyznach wygiętych następujące rytowania: 1) Chrystus pan na krzyżu, obok którego stoi Najświętsza Panna i św. Magdalena. 2) Najświętsza Panna z dzieciątkiem, któremu św. Joanna serce podaje. 3) Św. Katarzyna. 4) i 5) wizerun-

ki dwóch świętych niewiast, jedna z kolumną, druga z trybularzem. 6) Herb Gozdawa, zapewne pierwszego fundatora tego kielicha, Jana z Tworkowa. (Czy w późniejszych czasach rodzina Tworkowskich przy tym samym herbie pozostała, niewiadomo, albowiem w naszych herbarzach bez herbu podana). Na spodniem wygięciu wije się napis, głoskami rzymskimi, z małym przymieszaniami gotyckich: *Joannes . d . Załuski . canonicus . Plocens . pro . aia . sacerdotis . ut . supra legavit . anno . domini . 1492*. Na tejże krawędzi osadzony herb Rawicz, odnosi się do Załuskiego, niekto- re bowiem gałęzie tego nazwiska używały owego herbu.

Tak więc nasz kielich miał aż dwóch fundatorów, jednego, jak z pisma sądzić można, w początkach XV wieku Jana z Tworkowa, kanonika wileńskiego; drugiego, jak data okazuje, w końcu tegoż wieku Jana z Załusek, kanonika płockiego, który na potwierdzenie wotum powyższego księdza legował go 1492 roku. Po bliższem rozpatrzeniu rozmaitych części tego kielicha okazuje się, że części jego gładkie, jak czara i płaszczyzny rytowane podstawy, za czasów Jana z Tworkowa wykonane zostały, reszta zaś dodana przy odnowieniu, lub może ostatecznem dokończeniu w końcu XV wieku.

Z powodu tego kielicha, który się w małym kościółku wiejskim przechował, powtórzyć musimy już często wyrażane życzenie, aby pod opieką i kierunkiem dostojnego naszego arcybiskupa urządzonej być mogła ogólna wystawa starożytności kościelnych. Byłby to niejako inwentarz tego, co z zabytków nam jeszcze pozostało; niejeden skromny, zapomniany przedmiot nabrałby wartości przez oznaczenie czasu lub okoliczności w których powstał, drugi, zniszczony i niezupełny, dałby się umiejętnie odnowić; dla nas zaś byłaby to prawdziwa uczta archeologiczna, która w historii sztuki polskiej epokę stanowiła.

K. B.

Kronika tygodniowa.

Powiedział Mickiewicz:

Lepsza w kwietniu jedna chwilka
Niż w jesieni całe grudnie.

Niestety, nawet słowa takiego jak autor Pierwiosnka poety, nie zawsze bezwzględna prawdę wyrażają. Zimno ciągłe, śnieg prawie codziennie białymi swemi płateczkami zagłada nam w okna, północna temperatura po przedwczesnej wiosnie zawitała do nas.

Taki to już zwykły bieg rzeczy w naturze: po każdym jasnijszym trochę uśmiechu słońca, następują dnie całe niepogody. Na szczęście i niepogoda nie jest stałą. Dzieje się to jak ze szczęściem i nieszczęściem

ludzkim; tylko co tam na dnie, tutaj na lata liczyć wypada.

— O Solonie! wołał Krezus prowadzony na śmierć, tys był prawdziwszym od samęj wyroczni.

Bo król Lidów wyroczni dodońskiej nie rozumiał, a moralista grecki nie obwijał słów swoich w ciemną tkanę dwuznaczności.

O jakżeby dziś Europa potrzebowała takiego Solona, któryby umiał rozwikłać przed nią cały szereg następstw i prawdopodobieństw, dzisiaj, kiedy wyrocznie dodońskie i delfickie umilkły już na zawsze, kiedy czarne i białe gołębie uległy kuchennym znaczeniom, a trójnogi złote zajęły miejsce po giełdach europejskich, i tam z nich prorokują milionowi bankierzy i finansowe potęgi. Otwórzcie się święte podwoje, dymy wonne wzniescie się w powietrze, świetliki drzenie kapłankę przenika, słuchajcie słów przepowiedni!

Nie w wierszach już brzmią one; wyższa, wznioślejsza wieje z nich poezya, poezya cyfer i rachunkowości. Słuchajcie:

Jeżeli bank paryżki zniży esconto, a bank londyński go nie podniesie, to nie wiedzieć co będzie.... Jeżeli zaś stanie się przeciwnie, to niewiadomo jak sędzić. Na trzech od sta wszystko się zahacza i tylko pięć od sta na dobrą naprowadzić nas może drogę.

Kto mądry, ten zrozumie, ale lękam się żeby pomiędzy politykami europejskimi wielu Krezusów nie znalazło się, nie Krezusów liczących swoje niewyczerpane bogactwa, ale Krezusów w upadku.

O Solonie!

I w tym tygodniu także o śmierci donieść mi przychodzi. Zmarł przed kilką dniami Józef Paszkowski, o którego skonie gazety zamieściły już wspomnienia. Józef Paszkowski był jednym z najużyteczniejszych pracowników piśmiennictwa naszego, jednym z tych rzadkich u nas ludzi, którzy zdolności udzielone sobie przez Boga, uważają za zwiększenie obowiązku pracy i obowiązek ten starają się sumiennie wypełniać.

Józef Paszkowski, jakkolwiek nie mała oryginalnych utworów jego rozrzuconych było, zwłaszcza dawniej, po czasowych pismach, znany był w szczególności jako tłumacz. Na tém też polu wyrobił on sobie piękne stanowisko w dziejach piśmiennictwa naszego, a nazwisko jego przeżyje zapewne wiele takich, które zyskały sobie łatwy rozgłos z dzieł chwilowej wartości. Przyjął on sobie za zadanie życia przyswojenie językowi naszemu arcydzieł Szekspira, i dopełnił tój pracy z wielką sumiennością, z talentem, bo tłumaczenie takiego autora jak Szekspir, więcej niewątpliwie wymaga talentu, aniżeli napisanie niejednego dzieła oryginalnego.

Przekłady te Paszkowskiego, zamieszczane bywały peryodycznie w Bibliotece Warszawskiej, a krytycy przyznawali im wyższość nad wszelkimi tłumaczeniami Szekspira, jakie się dotychczas u nas pojawiły. Paszkowski znał dobrze trudności, jakie podług terażniejszych wymagań ciążyą nad tego rodzaju pracami i umiał się z nich wywiązywać. Samodzielność swoją poświęcał on zupełnie dla autora, przestawał być sobą, a starał się odbić w naszym języku i formie, i ducha, i zalety, i błędy nawet, jakie w genialnym angielskim autorze dają się widzieć. Nie poprawiał, nie gładził on tych pomników piśmiennictwa, które niestety niejedna już zuchwała a nieumiejętna dłoń kaziła swoim dotknięciem, nie starał się według konwencyonalnego gustu ociosywać olbrzymich ale zbyt szorstkich może dla naszego wydelikatnionego dzisiejszego pojęcia kształtów. Chciał on ażeby ci, co u nas nie umiejją po angielsku, mieli przynajmniej zblizone pojęcie, czém jest dla Anglików Szekspir, i dokazał tego.

Wartoby żeby który z panów nakładców podjął się ogólnego wydania tych przekładów, a przysłużyłby się literaturze naszej dziełem znakomitej wartości, które jeżeli nie na wziętość natychmiastową, to na ciągły, choć powolny rozkup mogłoby liczyć. Dzisiaj, kiedy tak trudno o wydawcę-księgarza, powiniby o tém pomyśleć przynajmniej ci, którzy zapragnęli wziąć na siebie obowiązek opiekunów literatury, albo chcą uchodzić za takich.

Paszkowski tłumaczył także Goethego i Schillera, chociaż przekłady jego z tych autorów mniej są znane, a przynajmniej, o ile wiemy, nieogłoszone dotychczas drukiem. Spis dokładny jego prac wyjdzie zapewne wkrótce w Bibliotece Warszawskiej.

Był to więc człowiek niemalych zasług, choć za-

dziwiającej skromności. W dzisiejszych zwłaszcza czasach, kiedy każdy stara się o ile możności najdrożej sprzedać liche względnie towary, tacy ludzie jak Paszkowski są niezmiernie rzadkimi. Nie należał on do żadnych koteryj literackich, prowadził życie ciche, nie szukając rozgłosu, a zadawalniając się tćm przekonaniem, że praca jego jest potrzebną i użyteczną; dlatego też nazwisko Paszkowskiego rzadko kiedy wymieniane bywało. Dodać jeszcze potrzeba, że prace podjęte przez niego należały do najmniej popłatnych, w dzisiejszym znaczeniu tego wyrazu, i za niezmierny trud, szczupły mu bardzo zysk przynosiły. Pracował jednak szczerze i wytrwale, i ciężar ten podjęty nad siły, może śmierć mu przyspieszył. Już z początkiem tego roku wziął on uwolnienie od obowiązków urzędnika w okręgu naukowym warszawskim, życie bowiem i siły jego z każdym dniem gasły; prac jednak swoich literackich nie zaprzestał ani na chwilę, i w wigilią jeszcze nawet śmierci robił korektę.

Strata takiego pracownika jak Paszkowski, jest nieodżałowaną, mało bowiem mamy ludzi, którzyby umieli pojąć jakie kółko zakreśliły im ich zdolności i trzymać się w tém kółku. Ten co może być bardzo użytecznym jako tłumacz, nieraz zapragnąwszy szerokiej sławy autorskiej, marnuje zdolności, łamie skrzydła i przysparza tylko mółom na przyszłość zajęcia. Życiorys Paszkowskiego wraz z portretem, umieścimy zapewne wkrótce.

Pojawiły się u nas w tym kwartale dwa nowe pisma peryodyczne: Kółko domowe i Przyjaciół dzieci. Kółko domowe, pod redakcją panny Szmigielskiej i pani Borkowskiej, poświęcone, jak sam tytuł powiada, polskim rodzinom, przeznaczone jest do zastąpienia tych wszystkich wydawnictw, które tysiącami egzemplarzy obciążają budżet pań i pańien naszych. Niczego tam nie braknie, nawet mód, których opis dziwnie jakoś przypada do naszego przekonania. Widooczne tam utrafienie w miarę potrzeb naszych i zdrowe rady zastosowania się do nich. Taki regulamin mód tylko pożytek przynieść nam może. Redaktorki pojęły swoje zadanie; nie piszą one dla Paryżanek, ale dla rodaczek naszych, a nieraz co w Paryżu jest popłatne, u nas jest niepotrzebnem. Teraz łatwiej niż kiedykolwiek będą one pojętemi, teraz łatwiej niż kiedykolwiek kobiety nasze potrafią się zastosować do rad zdrowych i zbawiennych.

Dobór artykułów jest staranny. Odnacza się tam przed innymi wiersz Deotymy, stanowiący niejako wstęp i noszący na sobie tytuł całego pisma. Bogdajby Kółko domowe było u nas przyjęte właśnie tak, jak Deotyma chce i radzi.

Przyjaciół dzieci już samym tytułem wypowiada przysły zakres działań swoich. Tego rodzaju wydawnictwa brak był u nas zupełnie; w zamożniejszych domach zywiono się po największej części zagranicznymi publikacjami, mniej zaś zamożne radziły sobie w tym względzie jak mogły, albo nie radziły wcale. Nieraz dzieci, żadne czytania, chwytaly za książki niestosowne do ich pojęcia i wieku. Szerokie więc pole otwarte jest dla nowego pisma, a w znanych zdolnościach głównego redaktora i w wysokiem jego ukształceniu, które na polu pedagogicznem długo miał sposobność rozwijać, pokładamy zaufanie, że godnie swojemu powołaniu odpowie. Tak Kółko domowe jak i Przyjaciół dzieci, ozdobione są drzeworytami.

Mówiono u nas o nowem piśmie codziennem, pod tytułem Gonicz warszawski, które także w obecnym kwartale miało już wyjść na widok publiczny. Ale widać że spełnienie tego zamiaru zostało z niewiadomych nam przyczyn odroczone.

Podobno Gazeta Warszawska ma wkrótce znacznie powiększyć swój format. Byłoby to bardzo pożądanem dla czytelników, bo dotychczasowy dodatek, codziennie na osobnej kartce wychodzący, niewygodnym jest, zwłaszcza przy oprawie całych kompletów. Ułatwić się mające stosunki pocztowe pism peryodycznych, dozwolą na zaprowadzenie w nich ulepszeń pod względem materyalnym, co dotychczas z nieprzelamanemi prawie połączone było trudnościami.

Jak powiedzieliśmy już, wydawnictwo książkowe u nas osłabło znacznie, zwłaszcza w roku bieżącym, ale ruch gazet i pism peryodycznych zwiększył się za to i od dwóch lat liczba prenumeratorów w dwojnásób się prawie pomnożyła. Dało się to uczuć szczególnie w bieżącym drugim kwartale rocznym, który w zwykłych okolicznościach słabsze daje rezultaty aniżeli pierwszy. Połączona liczba prenumeratorów na pocz-

cie dwóch najbardziej wziętych naszych gazet, Warszawskiej i Polskiej (tytuł pod którym obecnie wychodzi dawna Codzienna) dochodzi 9,000, co stanowi niebywałą jeszcze u nas cyfrę. Nie wpłynęło to jednakże na zmniejszenie prenumeraty dzienników zagranicznych, bo dziś można powiedzieć każdy ruinuje się na gazety. Są one jedynem prawie czytaniem obecnem, dlatego też znaczna część literatów przeszła lub przechodzi dziś na drogę dziennikarską. Staje się to skutkiem chęci utrafienia w obecne żądania i potrzeby ogółu. Każdy pragnie tak działać, ażeby jego działanie odnosiło jakiś skutek; my jednak nie możemy wstrzymać się od żalu nad tą dążnością, która zanadto jednostronnie pochłania w sobie talenta i zdolności tutejsze. Łatwo jest zboczyć z drogi której się dotychczas trzymało, ale pytanie czy skoro zapragniemy powrócić, nie znajdziemy już zawartego dla siebie przejścia; pytanie czy zdolności, nagięte do jednego wyłącznego karbu, potrafią się już z tego karbu wyłamać, gdy przyjdzie chwila różnorodniejszego działania. Ale trudno, przeciw wodzie płynąć nie można, chcąc nie chcąc muszę w tym względzie zostać fatalistą wschodnim i powiedzieć z mahometaninem: „Tak być musi, kiedy tak jest.“

Dobra jaworowskie, niegdyś rodzinne Sobieskich, i ulubione mieszkanie króla Jana IIIgo, położone w obwodzie przemyskim w Galicyi, wystawione są obecnie przez skarb państwa austriackiego na licytacją, celem zaspokojenia należności bankowej. Sprzedaż rozpocznie się od 330,000 zlr., co stosunkowo do obszerności dóbr, a mianowicie do wartości lasów, z których się one całe prawie składają, jest wcale pomierną sumą. I w Galicyi i u nas znajdują się osoby, którym stosunki majątkowe dozwolą zapewne przystąpić do tój licytacji, a nie chcemy nawet przypuścić myśli, żeby rodzinne dobra Sobieskich wpadły w ręce człowieka obcego, który nie mając żadnego obowiązku szanowania ojczyźtych pamiątek, zapragnąłby może zatrzeć i zmienić samą nazwę tych dóbr, jak to się już niejednokrotnie tu i owdzie zdarzało. Sądźmy nawet że w braku odpowiednich kapitałów, nabycie Jaworowa mogłoby składkowym sposobem się uskutecznić, jak to już raz w podobnej okoliczności proponowano. Przedewszystkiem ciąży tu obowiązek na tych, którzy przy historycznych nazwiskach, zachowali odpowiednie zasoby materyalne. Wiemy dobrze iż niewielu znajdzie się takich, jednakże można by naliczyć kilka znacznych tutejszych rodzin, którychby nabycie Jaworowa niebardzo obciążyło. Niechaj się nie dają wyprzedzić, bo nie wątpimy że znajdą się tacy, co szlachetnem współzawodnictwem będą pragnęli wyścignąć ich w tym świętym obowiązku. Jeżeli szlachectwo obowiązuje rzeczywiście, to trzeba dbać o to, żeby w tych powinnościach jakie ono nakłada nie dać się ciągle wyprzedzać przez innych, nietylko może obowiązanych, ale chętniejszych za to. A mówimy to w interesie tych właśnie, do których te słowa nasze są zwrócone, bo wystawienie na sprzedaż takich dóbr jak Jaworów, kraj cały obchodzi.

O ile się zdaje, znaczne podwyższenie wartości dóbr w ogóle wkrótce nastąpić musi. Przekonaniem tém natchnąć nas powinny przykłady przejść takich, gdzieindziej w mniej nawet szczęśliwych warunkach dokonanych. Więc jeżeli już nie poczucie obowiązku, to korzyść własna powinna nakłonić tych zbytecznie lękliwych obywateli, do zachowania swoich dziedzin. Nie przeczę że łatwą jest rzeczą, skapitalizowawszy majątek, albo nawet zaniechawszy uczynienia tego, jeżeli zasoby wystarczają, wyjechać za granicę i spoglądać zdaleka jak tu pójdą rzeczy, żeby upatrzawszy chwilę stosowną i bezpieczną, powrócić do kraju i cieszyć się z owocu starań i trudów, które drudzy za nas podjęli. Tym wszystkim jednak niewczesnym turystom i ludziom zbyt skłonnym do porzucania guiazd swoich, wartoby przytoczyć znaną pieśń do odlatującego bociana, której początek brzmi jak następuje:

Pędz, niewdzięczny, lotem strzały,
Tam gdzie wieczne są upały,
Tam gdzie wieczny kwitnie maj...
Mnie niech zimno krew tu zetnie,
Nie ulecę w strony letnie,
Bo mi miłszy ojców kraj....

Pędz, niewdzięczny, lotem gromu,
Zdala gniazda, zdala domu,
Nim powrócisz, umrzyj wprzód.
W piekle boleśń dręczy wściekła,
A jabym nie rzucił piekła,
Gdybym z piekła wiódł mój ród...

Józef Drzewiecki.

(Dokończenie.)

Temu stanowi rozdwojenia i obojętności postanowił zaradzić. Obrany marszałkiem krzemienieckim, wziął się czynnie do podźwignienia szkoły i miasta. Umyślnie pojechał do bawiącego wtedy w Radzyminie księcia kuratora i 7 czerwca 1817 roku podał mu memoriał, dopraszając się urzędzenia przy gimnazjum krzemienieckim szkoły chirurgów i weterynarzy, tak bardzo pożądaną przez obywateli; wydobycia już zapewnionych funduszów i przypadających od nich procentów; założenia bursy, na wzór krakowskiej, dla uboższej młodzieży; najbardziej zaś przywrócenia związku między szkołą a rodzicami, dając jej opiekuna z grona obywateli. Starania te w większej części uwieńczone zostały pomyslnym skutkiem. Żyjąc w ściślejszej przyjaźni z ówczesnym gubernatorem wołyńskim B. Giżyckim, wyjednał upoważnienie brukowania i lepszego urzędzenia miasta: więc wali sklepiki i budy kramarskie, co szkole pożarem groziły, wyprowadza ulice, kładzie na nich bruk, a nie przestając na zewnętrznym tylko porządku, pragnie zwabić do Krzemienia zdanych rzemieślników i dać im stałe ustawy. Aby to lepiej zrobić, chce brać wzór z Warszawy, co znajdując się pod rządem pruskim i francuzkim, korzystała z ich wpływu; żąda tedy aby mu przysłano ztamtąd odpisy statutów miejskich ustaw względem cechów, utrzymania porządku i zachęty do sprowadzenia rzemieślników obcych. W roku 1817 przyłożył się do założenia w Krzemieniu towarzystwa dobroczynności; tegoż roku zakładał towarzystwo muzyczne, między innymi wzywając na jego członka generała Kropińskiego; reformował szkoły elementarne według metody Lankastra, zasięgając rady z Warszawy, czy tam doświadczenie usprawiedliwiło łożone starania; sprowadzał sztycharza i płyty kamienne także z Warszawy; odkrywał dobry marmur blisko Krzemienia, marząc że się doczeka ludzi, którymby go poświęcić było można. Zapisał znowu się ożywić, miasto się brukowało i ozdabiano porządnymi domami, wiele rodzin z Wołynia i Podola stało w niem osiadło dla wychowania dzieci, i uradowany marszałek pisał do jednego z przyjaciół: „Zdawałoby się, że jesteś za czasów Czackiego, tak wszystko się podnosi i pragnie wydoskonalenia... Osób w tym karnawale było tu wiele, a na przyszły rok będzie jeszcze więcej.“

Wśród tych powszednich usiłowań, bywały i uroczystsze chwile w życiu Krzemienia. Tak 28 lutego 1818 roku odbył się tam uroczysty obchód żałobny za Kościuszkę, zmarłego w Solurze 15 października 1817 roku. Marszałek podał pierwszą myśl i przewodniczył jej wykonaniu. W półtora roku potem, 1 września 1819 r., wprowadzał Drzewiecki na dyrektorstwo szkoły krzemienieckiej Alojzego Felińskiego, a zarazem obchodził pierwsze jej otwarcie po podniesieniu do stopnia liceum. Obrzęd ten odbył się uroczysto; między innymi i Drzewiecki miał mowę, potem dał obiad na 200 osób, na którym znajdował się i Wojciech Bogusławski, „chodząca historia przywiązania naszego do kraju,“ i osobliwie uczczono szanownego starca. Zarząd Felińskiego ożywił część naukową, ale niedługo nim się cieszone, bo już w następnym 1820 r. oplakiwano jego zgon, a Drzewiecki, przejęty czią dla zasług zmarłego, przy spisaniu pozostałości po nim, prosił o pozwolenie wzięcia siedmiu piór, dla rozesłania ich bliższym przyjaciółom autora Barbary. I znowu też prace i starania o wychowanie własnych dzieci, o miasto i szkołę, w interesie której jeździł 1822 r. do Wilna, dla widzenia się z księciem kuratorem.

W następnym roku wszedł w powtórne związki małżeńskie z panną Konstancją Jaroszyńską, która w ciągu lat 25 była dlań szczerą przyjaciółką, a dla jego dzieci prawdziwą opiekunką. Wkrótce potem wydał starszą córkę Helenę za Franciszka Skibickiego, i odtąd życie upływało mu cicho, spokojnie, w szczęściu, na które zapracował. Majątek, nadwreżony ofiarami na rzecz publiczną, a może i brakiem nadzoru, gdy wszystkie jego starania poświęcone były Krzemieńcowi i przyjaciółom, teraz oczyścił i powiększył, pilnie zajmując się gospodarstwem. Regularnie co tydzień pisuje listy do ukochanej córki i zięcia, pełne przestróg i rad prawdziwie ojcowskich; sadza i pielęgnuje drzewka owocowe i kwiaty; czyta książki, po większej części treści religijnej, n. p. Kazania Skargi, Mały post Massylona; tłumaczy nawet Przewodnik duchowy Ludwika de Blois. W roku 1829, namawiany przez zięcia do pisania historii legionów, składa się brakiem talentu historycznego i imaginacji godnej malować świetne czyny owej epoki; jednak powoli dał się nakłonić i widać doświadczał przyjemności,

odświeżając stare a tak sławne wspomnienia, gdy pisze w 1832 roku: „Jest przecież źródło myśli, co z serca płynie, które wyobraźnia zwiększa, i wspomnienia snują się koleją. Z temi teraz żyję w samotności mojej, odrzucając smutne myśli gromadzące się natłokiem.“

Ale powszechna cześć i uznanie nie dały mu używać domowego spokoju, powołując go do usługi publicznej. We wrześniu 1832 roku na wyborach w Kamieńcu „ofiarowano mu wszystkie stopnie,“ ale się stanowczo wymawiał; nagłony przecież, podał się na kuratora szkół gubernii podolskiej; wtedy wszyscy współubiegający się dobrowolnie się usunęli i musiał przyjąć tak zaszczytnie ofiarowaną sobie godność. Mimo wiek, z młodzieńczą żywością zabrał się do pełnienia nowych swoich a tak ważnych obowiązków. Był przy otwarciu gimnazjum w Winnicy; razem z marszałkiem gubernialnym podał prośbę o wyjednanie wykładu języka polskiego, na co fundusze zebrać przyrzekał; objeżdżał szkoły, gorliwie wglądając w ich potrzeby. Jeszcze obrano go marszałkiem w Hajsyniu. Urzędnikowi, co go pytał czy przyjmie urząd niższy od tego, jaki poprzednio zajmował, odpowiedział z właściwą sobie łagodną ironią: „Mój panie, ja w osmnastym roku byłem brygadyerem, a odtąd coraz niżej idę.“ Gdy i syn odradzał mu przyjmowanie tego urzędu, przesłanie mu odpisał: „Masz w ojcu starowierca, co w długim życiu niczego nie pragnął dla siebie; schodził i wchodził w obowiązki, jak wymagano po nim, i zajmując posadę nie targował się z powinnościami jakie nań wkłada.“ Odpowiedź to prawdziwego żołnierza, co nie liczył przeciwników, lecz stawił się im mężnie. A jak rzeźko biegł szarabanikiem do Hajsynia, „wymijając chmury i ulewę, jak spełniał poruczone sobie obowiązki chętnie i wytrwale! Nie upadał na duchu, pomimo zmian ludzi i czasów, aż przyszły na niego nowe a najcięższe klęski familijne: śmierć ukochanej córki Skibickiej i żony.“

Odtąd usunął się od świata, i jak miecznik w „Maryi“ Malczeskiego, żył więcej z Bogiem niż z ludźmi, do których jeżeli się zwracał, to jedynie aby w długiej, codzienniej litanii wspomnieć drogich mu żywych i umarłych i polecić ich Bogu. Tak ziemię z niebem spajał świętym węzłem modlitwy i życie dosnuwał cicho, łagodnie, bez cierpień fizycznych, jak długi rozaniec, dopóki ostatniego w nim nie przesunął ziarna. Było to w 85 roku jego życia. W. G.

POŚĄG MICKIEWICZA W POZNANIU.

Posąg z piaskowca A. Mickiewicza w Poznaniu, którego rycinę tu załączamy, ukończony został w r. 1856 przez znakomitego naszego artystę, W. Oleszczyńskiego. Postawiony na dawnym cmentarzu, z boku kościoła św. Marcina, obrocony jest ku ulicy tegoż imienia i oddzielony od niej kratą żelazną. Wysokość samej figury wynosi przeszło 6 stóp, całego zaś pomnika, z postumentem i wschodami, stóp 17.

Wieszcz stoi prosto, wznosił głowę, zda się patrzy w zapadający horyzont, co na jego zakłęcie cofnął się, rozszerzył dokoła, odstaniając przed nim zapadłe w przeszłość i rodzące się w przyszłości tajemnice. Prawą rękę położył na sercu, trzymając w niej rylec, jak gdyby wskazywał, gdzie sam odniósł, gdzie odnieść należy, gdzie wypisać z krain zaświatowych zaczerpnięte natchnienie. U stóp wieszczka leżą gruzy, symbol rozpadającej się budowy przeszłości, po której pną się świeże liście wawrzynu, błyszcząca tytuły dzieł poety, a lekko wsparta na nich lewa ręka i przeważny kierunek naprzd w górę, tak wyrazem twarzy, jakoteż i całą figurą oznaczony, wiedzie myśl rozbudzoną w krainy przyszłości.

Oko, obiegłszy cały pomnik, zatrzymuje się na twarzy, a uszu naszych zda się dolatują wyrazy:

„Pieśni ma, tyś jest gwiazdą z za granicy świata.“

Takim jest pomysł pomnika, wymowny prostotą, szczęśliwy układem. P. Oleszczyński pojmuje doskonale nieodzowne warunki rzeźby: powagę i spokój. Pierwszy ogólny rzut oka na jego dzieła zawsze jest mniej więcej zadowolający; w szczegółach tylko grzeszy niekiedy nazbyt wiernym trzymaniem się natury. I tak: zdaniem naszym, mniej fałdzista zwierchnia draperya, swobodniej na przytrzymującej ją ręce zwieszona, lżejsze, miększe i nie tak sztywne ubranie, a nade wszystko więcej zidealizowane podobieństwo twarzy, przy zachowaniu tożsamości osoby i stroju właściwego naszym czasom; nadałoby całej postaci więcej podniosłości, przemówiłoby wyższą, idealną prawdą.

Pomniki zmarłym stawiane, z przeznaczenia już swego stają między niebem i ziemią, a im więcej w nie-

bo wpatrzone, im bliższe tajemniczego świata, tém słodsza pociechę i naukę w duszę żyjących wlewają.

Kaplica nad grobem generała Weysenhoffa.

Kaplica murowana w stylu greckim, na cmentarzu miasta Kamionki pod Lublinem, której tu rysunek podajemy, oświetlona kopułą, wspiera się u góry na odpowiednich ośmiokątnych, wzbogaconych pilastrami i archiwoltami, otacza dokoła udatny pomnik brzoze antique (z fabryki Evansa), nad grobem s. p. Jana i Tekli z Otfinowskich małżonków Weysenhoffów wzniesiony. Zawieszona nad nim alabastrowa lampa, niepewne rzuca światło, łamiąc się z liniami gzymsów i półcieniami szyb kolorowych. Ołtarz zdobi piękny obraz olejny, kopia z galerji drezdeńskiej znakomitego penzla, a i zewnętrzne akcesorya, jakoto: tablice, odrzwia, i t. p., również według dawnych wzorów z żelaza są odlane.

S. p. Weysenhoff, generał dywizji ulanów b. wojska polskiego (*), mąż pełen zasług na polu chwały i nauk nabytych, urodził się w dawnych Inflantach polskich roku 1773. Potomek kawalerów mieczowych, bardzo młodo, bo na schyłku zeszłego stulecia, zaciągnął się do pułku ks. Radziwiłła *panie kochanku*. Lat potem kilka poświęcił się słuchaniu nauk w Paryżu, a podróżując po Szwajcaryi, Niemczech i Włoszech, nabył tego poluru, który go do wyższych przeznaczeń przysposobił.

W 1806 r. w stopniu majora powtórnie stanął w szeregach formujących się ojczystych zastępów. Odtąd służąc nieprzerwanie, zaszczytnie się odznaczył przy oblężeniu Sandomierza, a ranny w bitwie pod Czarykowie, dowodząc następnie pułkiem 12 piechoty pod Możajskiem, tamże na polu bitwy mianowany został w 1812 r. generałem brygady, a generałem dywizji w 1827 r.

W 1833 roku wrócił ostatecznie do dóbr swoich Samokleski. Zatrudnieniem ziemianina odtąd oddany, bez przerwy aż do śmierci 19 maja 1848 roku następniej na łonie ubóstwiającej go rodziny i wiernych przyjaciół przebywał, zachowując umysł bystry, spokojny, z jasnym poglądem na ówczesne wypadki.

Ze związku jak wyżej pozostawił niepospolitych zdolności syna Włodzimierza, zmarłego w 1857 r. i córkę Helenę, zamężną W..., za której staraniem kaplica ta nadgrobną, wzniesiona pod kierunkiem budowniczego Szamoty, otrzymała zatwierdzenie władz i stosowne na wieczne czasy uposażenie, a 5 sierpnia 1859 roku ku chwale Bożej poświęcona, zdoła dziś okolicę. Ku przechowaniu zaś pamięci zasłużonego w kraju męża, służy napis przez fundatorów na grobowcu umieszczony:

Hic dolor,

Hic decus meum.

L. W.

UBIORY NIEWIAST POLSKICH

Z WIEKU XVI I XVII.

Koniec XV wieku, a szczególnie też wiek XVI, głównie od panowania Kazimierza Jagiellończyka, wprowadził coraz więcej przepychu i zbytku w ubiorach niewiast polskich. Nieznane dawniej drogie futra, kamienie, perły i dyamenty, ciężkie jedwabne materye i aksamity, zaczęły wchodzić w powszechne użycie, już nie tylko u pań znakomitszych, ale pomiędzy szlachciankami bogatszymi i mieszczkami zamożnymi miast Krakowa, Lwowa, Warszawy, Poznania, Wilna, Gdańska i innych.

Przedstawiamy tu ubiory niewiast polskich z XVI i XVII wieku, zebrane przez p. Juliana Kossaka z pamiątek krakowskich i lwowskich, oraz z wydanego zbioru Matejki.

Wiek XVI.

a) *Matrona sędziwa*. Czapka białogłowska, okrywająca głowę i spadająca na ramiona, z czarnego aksamitu, z bramką kuny farbowanej. Kwef biały gazowy; po wierzchu *metlik*, to jest rodzaj odzievky z ciężkiej materyi; suknia adamaszkowa, kunami podszyta. W prawym ręku książka oprawna do nabożeństwa.

b) *Niewiasta zamężna*. Czapeczka płaska, aksamitna, perłami w koło obszyta; pod nią spadający do szyi złocisty czepiec; delia z aksamitu, rysiami podbita, z takimże kołnierzem wykładanym; suknia *falendyszowa* (z sukna angielskiego lub holenderskiego) fijołkowego koloru; kołnierzyk wysoki koronkowy, całą szyję okrywający; na piersiach kosztowny łańcuch; w je-

(*) Jan Weysenhoff był rodzonym bratem słynnego z wymowy Józefa, posła na sejm 4 letni, przyjaciela i kolegi Niemcewicza, a przyrodnim Stanisława hr. Soltana, marszałka w. ks. litewskiego.

dnym ręką trzyma rękawiczki, w drugim rozaniec z krzyżem.

c) *Panna*. Kółpaczek aksamitny czarny, ze strusim spadającym piórem; *kabat* (rodzaj kontusza) z materii jedwabnej, z wylotami, długi; spodnica szamoa muszlinowa w kwiaty; kołnierzyk takież sam okrywający szyję; na piersiach łańcuch złoty, w rękę wiązanka kwiatów.

Wiek XVII.

d) *Panna*. Na głowie czółko ponsowe, wyszywane wokóło; z niego spada kwef biały, okrywający całą postać. Jubka (szubka) szafirowa, barankami białymi obszyta.

e) *Mieszczka krakowska*. Czapka aksamitna, czarna, liśmi obszyta; pod nią biały czepiec, od którego osłona spada na piersi. Jubka krótka, amarantowa, popielicami obszyta; fartuch biały, suknia z ciemnego falendyszu.

f) *Matrona*. Czapka aksamitna, więcej kroju męskiego, puszkim białym obszyta. Delia falendyszowa, czerwona, kunami podbita, suknia *kandyburowa* (perkalowa), popielata, długa po kostki, z przodu na guziki, jak staropolski żupan, zapinana.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

„Z życia, okruchy poematu,“ przez Leonarda Sowińskiego. Kijów, 1861 roku.

Świeże i wonne kwiaty, rozsmięchnięte we wszelkie kolory tęczy, owite około zimnych i białych marmurów, wplecione w gorące, purpurowe serca; namiętność bryzgająca wrzącą pianą; martwa wiedza mądrości, oderwanej od życia; natchnień porywające potęgi; łzy zachwytów i bólu; wdzięki niewieście; olbrzymia prostota czynu; łzawe perły; śmiejące się słonecznymi iskrami diamenty i rubiny; szary, ubogi krzemień, ale z iskrą palną w łonie, z zadatkiem Bożych pożarów, przy łunie których dopiero stają w prawdy światłe duchy, czyny, myśli, ludzie, szaty, rozumy, obłędy, wiary, miłości i nadzieje,—wszystko to nosi tytuł: *Z życia, okruchy poematu*, a jest utworem p. Leonarda Sowińskiego.

Wobec każdego dzieła sztuki, a tém bardziej wobec utworu tej potęgi i tego kierunku, jakim jest utwór p. Sowińskiego, dziwnym jest stanowisko krytyki dzisiejszej. Musi ona wybierać: albo zapisać się w poddaństwo powszednim usposobieniom społeczeństwa, albo silną ręką pochwycić prawo głoszenia prawdy, bez względu na niechęcie które wywołać może.

Smutno jest wyznać, ale niemniej wyznanie to prawdą będzie, iż kierunek społeczny dziś uważa za nie na dobie będącą rzecz każdą, która nie nosi cechy doraznej pożyteczności materyjalnej. Ostrzegają nas o tém głośnym wrzaskiem ludzkiej spłodzeni z doczesnych związków błota z patynkami, bohaterowie dni zaspanych. Powtarzają nam to niejedne głosy z za kantorków, ucząc jak wszystko Boże i ludzkie sprzedać najdogodniej i najrychlej potrzeba. Dla oczyszczenia pola pod siew zysków pieniężnych, zniszczono dawne pomniki, obalono krzyże dawnej wiary.

Tabakierka grająca ekonomiko-politycznego kuranta, wyrasta nad muzykę najcudowniejszej harmonii. Bohaterowie, święci, zasłużeni, niczem są wobec przemysłowców; ludzie zaś którym ten raj nie wystarcza, nie wierzą aby świat i człowiek, stworzenia Boże, mogli być

rachunkiem i cyfrą tylko, i witają z zapalem każdą myśl poczerpniętą z czystych źródeł natchnienia, unosząc się jako stróż-aniół od lat tyłu nad życiem naszym. Pomimo więc *ekonomicznego* usposobienia czasu, krytyka z powołania swojego musi z tym aniołem-stróżem trzymać i nie przed wszystkiem co ma poparcie pieniężnych ludzi, chylić swą głowę powinna. Zadaniem jej być rozjemcą wiecznego sporu ducha z rzeczywistością i kojarzyć te dwie strony istnienia. Zadanie trudne, a tłumaczy nam owo powstrzymanie się działalności krytyki, na które sprawiedliwie myślący ludzie uskarżają się, a które jest tylko zamysleniem głębiokiem i poważnym. Gdy literackie zadanie krytyki zeszło na drugie miejsce, od kiedy piśmiennictwo nietylko sztuce, ale treść życia przedstawia, krytyka się waha, czy szanować głos i wtóżyć głosowi owozem, chociażby większości? czy mniejszość wznioslejszą, szlachetniejszą dźwigać do

tryumfu? czy pomagać interesom, czy duchowi kraju? W każdym razie wahanie się owo i milczenie krytyki nie może trwać: przerwie je i w pierwszym razie przejdzie na faktora, na kommissanta handlowego, w drugim stanie się strażnikiem dobra, piękna i prawdy. Mamy nadzieję, że wypełni się drugie. Życie i trud pocziwy życia, rozwijający się przed naszymi oczami, musi stać się i stanie celem krytyki i jej treścią; prawda, bezwzględny jej orężem i siłą. Przeszły czasy błogie sław i zasług literackich, zdobytych na polu piśmienniczej sztuki, oderwanej od życia wyższych celów. Prawidła i formy sztuki stoją jak puste stodoły, w których świergocą wróble i dotąd jeszcze, ale czyż owo świergotanie może obudzić zajęcie, podnieść ducha i umocnić serce ludzi, mających tylko kraj w myśli, w duchu i w sercu? Na czyn każdy naszego życia, (a obecnie i literatura nasza zdobyła

po ubocznych ścieżkach sztuki dla sztuki się płącze dotąd, a wątpić nie możemy, że zejdzie na ten szlak wskazany wszelką powinnością i na nim rozjaśniać zacznie zalety i wady pod jej sąd poddanych rzeczy.

Poemat p. Sowińskiego zmusza krytykę do uwagi posiadaniem własnie owych przymiotów dobra, piękna i prawdy swojskiej.

Nie sprawiedliwszego jak ów tytuł: *Z życia*.

Autor zaklął potęgi prawdziwe istnienia w ciało i puścił w ruch wielki, w ruch jedynie godny człowieka i narodu. Hrabia *Ugo*, wiedza; *Henryk*, natchnienie; *Adam*, namiętność miłośna; *Ludmir*, czyn; *Ewa* i *Marya*, żywioł niewieści, ta *ewige Weiblichkeit* Goethe'ego, którą trzyma się rodzina, jedyna podstawa narodu.

Treść krótka, cała w zarysach tylko śmiałych; ale pierwsza olbrzymia, drugie mistrzowskie. Nim jednak przyjdzie nam niemi się zająć, musimy zwrócić uwagę na wstępne ostrzeżenie, którym autor usiłował zakląć to, co zakłęciu nie podpada, a czemu żadna czarodziejska różyczka nie pomoże, to jest: ciemnotę materii pozbawionej ducha i systematyczną trucizną knejpp pseudo-bogobojnych i zborów kramarskich. Nazywa ich autor „Beati.“ Mniemamy że to jest myłka pióra, gdyż wydają się nam jako Beoci. Bóg z nimi, jeżeli to życzenie nie jest ubliżeniem dla bóstwa. Niepotrzebnie autor ich ostrzega, niepotrzebnie się tłumaczy; wszystko to nie przelamie ciemnoty, złej woli i rachunków. Ludzie tych przymiotów nakreślą na autora i na poemat srogi wyrok, i jak zwykle pod wyrokami *niemocy*, podpiszą *rozszadek*.

Rzecz dzieje się w Rzymie, w pamiętek grodzie, i słusznie. Scena taka może być tylko w miejscu, gdzie cześć pamiętek żywa i cała stoi. Dlatego nie szukamy z autorem zatargu, iż wybrał placem Rzym, za bohaterów zaś wziął ludzi nie swego narodu. Zresztą więcej on tu przedstawił żywiołów naszych, pojęciem potęg życia, niż owe soliterowej długości niektóre powieści i komedye, które wszakże miejscem swych poziomych ruchów nasz kraj mają i ludzi naszych na marynetki do swych myśli najmuja.

Okolo niewiast *Ewy* i *Maryi*, okolo serca wszelkiego społeczeństwa, a tém bardziej naszego, okolo tego serca pełnego pociech, zachwytów i balsamów, krąży władze istnienia, jak planety okolo słońca. Nad niemi wszystkimi ludzkość w swęj przygotowawczej formie w narodzie unosi się i pochłania w siebie zabiegi i czyny, żądze i myśli, skierowane ku niej, marzące o niej, żyjące dla niej i prowadzące ją na szczyty ziemskiego przeznaczenia. *Ewa*, kobiecość *in potentia*, marzy, tęskni, szuka sercem i wzrokiem kogo ma uwieńczyć, do kogo się uśmiechnąć z lubością, komu się oddać w miłości, jako nagroda za usługi dla ogółu. Hrabia *Ugo*, wiedza, oderwana od życia, zakłęta w swą wielkość, z pychą szatana mianująca się Bogiem, nawet nie patrzy na to cudne dziewczę, przyszłą matkę i serce rodziny i kraju. *Henryk*, natchnienie, wyciąga ku niej ramiona, ale głos ludu z oddali wyrwa go z osobistych upojeń. Oddala się od *Ewy* bez słowa nadziei, bez słowa pociechy. Kochanka jego wyższa, smutniejsza, zasłuższa; cielesne jej kształty trzeba podnieść z ziemi, ducha jej z nieba przywołać. Nie może, nie powinien okuć się ramionami niewiasty, gdy dalej, coraz dalej, a swobodnie po ciężkiej drodze iść potrzeba. Natchnienie tu z prawdą w sumieniu, jednak czynem błądzi; powinno by czuć że piękność siostrą mu i dla niego potrafi być wytrwała, a nie opuści go na ciernistym szlaku. Błąd ten natchnienia wywołuje zgubę piękności. *Ewa* czuje się samą, a przed nią tylko, ze wszystkich jej marzeń, zachwytów i pożądań szczytniejszych, stoi namiętność. *Adam* mówi do krwi krwią, do serca pochlebstwem, wiecznym środkiem wszelkiej żądzy. *Ewa* staje się żoną *Adama*, aby przejść przez czyszciec przesytów, przez piekło wrzącego błota zmysłowych roskoszy, przez zawód, ból, walkę, w której dusza wieczne rany odnosi i dojsć przy świetle serca do pojęcia przeznaczenia niewiasty. *Marya*, kobiecość *in actu*, nie wiemy czy tak przeszła życie jak *Ewa*, czy od pierwszych uderzeń dziewczęcego serca jasno w niem było i pewno: dość że już nie kocha, ale się lituje, już nie pożąda, ale uczy modlić się, już nie zachwyca, ale koi, już nie rozkochana, ale macierzyńska. To siostra miłosierdzia w domu obłąkanych, gdzie społeczeństwo opłaca szalem sobkostwo swego ducha i życia. Nie



POSĄG ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU.

sobie prawo czynem życia się mianować) patrzymy mniej pytając o to, czy on w piękne obleczonej formy, czy zachował przywoitość i edukacją tradycyjnych przepisów sztuki zimnej i obojętnej na życie; ale bardzo nam idzie o to, czy czyn ten jest zbawczy lub szkodliwy, czy posuwa naprzód, czyli wstecz cofa pracę i czujność ducha w ludzkości, w narodzie. Prawda więc, nie chwilowego interesu materyjalnego, ale prawda narodu musi przejść w kryterium; piękno nieprzechodnie własnej ziemi będzie szatą, którą krytyka zmusi okrywać wszelkie przejawy sztuki; dobro ziomków, ale dobro najwyższe, uważać się będzie za jedyną zasługę utworów, a życie narodu za jedyną dziedzinę objawów naszego ducha w piśmiennictwie i sztuce. Jakkolwiek te zasady mogą wyglądać nie klasycznie, wszakże gdy literatura nasza oddawna już na tę drogę zesła, a w całym świecie droga ta staje się drogą życia, dziwić się wypada dlaczego krytyka nasza

opuści go na ciernistym szlaku. Błąd ten natchnienia wywołuje zgubę piękności. *Ewa* czuje się samą, a przed nią tylko, ze wszystkich jej marzeń, zachwytów i pożądań szczytniejszych, stoi namiętność. *Adam* mówi do krwi krwią, do serca pochlebstwem, wiecznym środkiem wszelkiej żądzy. *Ewa* staje się żoną *Adama*, aby przejść przez czyszciec przesytów, przez piekło wrzącego błota zmysłowych roskoszy, przez zawód, ból, walkę, w której dusza wieczne rany odnosi i dojsć przy świetle serca do pojęcia przeznaczenia niewiasty. *Marya*, kobiecość *in actu*, nie wiemy czy tak przeszła życie jak *Ewa*, czy od pierwszych uderzeń dziewczęcego serca jasno w niem było i pewno: dość że już nie kocha, ale się lituje, już nie pożąda, ale uczy modlić się, już nie zachwyca, ale koi, już nie rozkochana, ale macierzyńska. To siostra miłosierdzia w domu obłąkanych, gdzie społeczeństwo opłaca szalem sobkostwo swego ducha i życia. Nie

możemy tu nie pożalić się na autora przed nim samym: czemu nam nie pokazał drugiej siostry miłości, która w naszym poczciwym, pełnym przyszłości rodzinnym życiu zwie się żoną i matką?

Tymczasem dzieło wielkie posuwa się olbrzymim krokiem. Natchnienie toruje drogę czynom; wiedza, opamiętana widokiem swjej parady w domu obłąkanych, chwytą życie i staje się prawą ręką czynu. Czyn nurtuje wszystkie warstwy społeczne. Przed tryumfalnym pochodem władz istnienia, kruszą się zapory zła, wszelka osobistość ginie. Sobkostwo w obłąkaniu, namiętna krew żądza w gruzach, chciwe zabiegi w idiotyzmie dogorywają w domu waryatów i żądz swych mrzonki ubierają w słowa bołaco-smieszne, w jedyną formę życia osobistych zabiegów. Na forum wszelkie potęgi bytu zawołały słowem i czynem: Stań się! I Boża moc twórczości doczesnej spływa na nie: jedyna chwila w której *vox populi* jest *vox Dei*. Żywioł niewieści wszędzie: w domu obłąkanych chrześcijański, litośny, kojący, macierzyński — siostra Marya, na forum świetny, błyszczący, rozrzucony, zarumieniony, to Ewa wyświęcona cierpieniem, oczyszczona żalem i skruchą, pierwsza i zawsze ta sama kobieta. Kwiaty lecą, ręce klaszczą, lica płoną, oczy obrylantowane łzami szczęścia i zachwyty; wszystko w godności spełnionego czynu jedyną i prawdziwą zasługą; głosy ludu huczą tryumfalną burzą: nie stanie kwiatów, rumień-

ców, sił, łez, głosu! Gdy towarzyski Ewy na balkonie nie lękają się, aby ona w swym zachwycie dla na-

tchnienia, co w parze z czynem postępuje; wszystkich mu kwiatów i uśmiechów pod stopy nie rzuciła; to ona, krasna boskim płomieniem niewieściego ducha, rzecze:

„Mylicie się panie! Kwiatów mi dla każdego bohatera [stanie]!”

Znajdą się zapewne specjalnie ku temu wyszykowani ludzie, którzy rozmierzą na cale długość dyalogów tego poematu; wbiją na prawidła rym każdy, wiersz każdy; zastanowią się nad tém, czy mundur utworu tego odpowiada pułkowi, do którego go wpiszą we wielkiej hierarchicznej armii sztuki i pod tym specjalnym pretekstem o myśli wcale zapomną. Przed nami inaczej ten poemat wygląda, inaczej nam mówi do duszy. Jeżeli piszemy o utworze p. Sowińskiego, czynimy to w celu aby we własnej i ogólnej pamięci zanotować, co zostało nam z niego w duszy, jakąśmy przezeń prawdę zdobyli. Według nas to właśnie stanowi naukę i wiedzy naszej granice rozszerza, a jest jak ta woda żywiąca i uzdrawiająca; o której każdy z nas od piastunki swjej słuchał zadziwiające powieści. Owoż każdy utwór sztuki piśmienniczej stawimy wobec życia i społeczeństwa: patrzmy czy ten utwór społeczeństwu przeczy, czy w jedności z niem ma pożytek, lub nakoniec czy kierunkowi społecznemu nadaje nowy popęd.

Spółeczeństwo nasze, a przynajmniej część jego najgłośniejsza, nieszczęśliwa, nie z własnej winy chorobą miotana od lat kilku lub kilkunastu,



KAPLICA NAD GROBEM GENERAŁA WEYSSENHOFFA. (Rys. Podbielski, ryt. w drzeworytni Tyg.)



UBIORY NIEWIAST POLSKICH Z XVI i XVII WIEKU. (Rysował Kossak, rytowano w drzeworytni Tygodnika.)

dziwnej maligny brednie za prawdę dzieciom swym, przysłym pokoleniom, podaje. Wspomnieć tu wypada te tylko, które mają odwrotny stosunek z pojęciami wyrażonymi przez p. Sowińskiego; gdyż, pomimo obfitości treści, nie chcemy przekraczać za granice rozbieranego przez nas przedmiotu. Chcemy mówić o tym, co u pewnych ludzi dzisiaj nazywa się wiedzą, natchnieniem, czynem, niewiastą, ruchem i postępem, a jakie autor daje nam o nich pojęcie. Wiedzą nazywają u nas naukę skierowaną do wynalazków służących do jedzenia, picia, wygody i użycia, albo martwą osowiałość, zaciętką w przedmioty niemające żadnego życia. Sowiński taką wiedzę, co młodość, zatem zapal zabija, co odrywa się od kraju, uważa za trup leżący w poprzek postępu; posyła natchnienie, by z drogi go usunęło; prowadzi wiedzę do obłąkanych domu i dopiero uleczoną widokiem własnego szaleństwa, stawia w życie, brata z niemi i dźwignią czynu nazywa. Czyn u pana Sowińskiego, nie jest to ów czyn ubłogosławiony przez faktorów i przemysłowców piśmiennictwa, podejrzanej wartości ekonomiko-politycznej, którego jedynym celem—pieniądze, jedynym męczeństwem—bankructwo. Pod wpływem nacisku praktyczności piśmienniczej i społecznej, przychodziło już nam wierzyć, że nawet mała ogryzająca nowym i łatwym sposobem orzech, powinna być nazwana człowiekiem czynu, zasługi i pierwsze miejsce zająć między nami. Autor zaś poematu powiada nam, i zgadzamy się z nim, że czyn prawdziwy jest jeden tylko: on ciągnął ofiarą, walką, krwawym potem dźwiga i sadza na zasługi szczytach, a sam z dobytym mieczem, gotów na rany i śmierć, stoi ciągle czujny na straży tego majestatu. Czyn ten, to pan wiedzy i brat natchnienia, natchnienie zaś, okrzyczane że nam szkodę tylko wyrządza, nawet kiedy się nazywa Adam, Juliusz, Zygmunt, p. Sowiński ukazuje nam torujące drogę czynowi, a później z czynem w jednym rzędzie po tej drodze, wśród walki i znoju, ku wspólnemu szczęściu ziemiaków postępujące stale. Natchnienie, jako czynnik spożywania najumiejętniej darów ziemi przez zmateryalizowane społeczeństwo, kończy u p. Sowińskiego w smutnym szale; niewiasta, która jej służyła jako jeden więcej komfort zmysłowy, odwraca się odeń ze zgrozą i boleścią; litość tylko i miłostwierdzenie chrześcijańskie pochylone nad nią zostaje, szukając w sercu choć iskierki czystszej, przez którą rozplomienie do szlachetności je mogła. Ruch społeczny i postęp widzimy w tym poemacie na *forum*, w czynie mężów, w natchnieniu wieszczów, w zapale niewieściom, w czynnej pomocy organizacyjnej wiedzy; gdy imiona ruchu i postępu nadane są przez świat dni dzisiejszych wcale innym, a tylko osobiste korzyści jednostek na celu mającym rzeczom. P. Sowiński właściwie umieścił je albo w maskaradzie, tej ironii życia, albo w domu obłąkanych, tej nagrodzie podniesionych nad ducha zmysłowych osobistości. Świat sobków moralnych, w łonie i w głowie z dukatem, z żądzą, z miłością własną, z pychą, błędzi w szale po domu waryatów. Świat małych udających człowieka, igra jak zwierzę na maskaradzie żywota, na której motyle tylko rej wodzą.

Gdy po bożemu pojęto potęgę istnienia, a grupy społeczne na właściwym już stoją miejscu, dopełnia się wszystko: wiedza brata się z życiem; natchnienie, ze sztandarem zwyciężkim w rękę, leci wspólnie z czynem ku ofiarom i poświęceniom; niewiasta albo nagrodą bohatera, albo pociechą i litością macierzyńską, a wszystko dąży do wielkiego celu. Ale to w poemacie, a w życiu?...

Dobrze jest choć rzadko prawdę posłyszec. Zawdzięczamy ją p. Sowińskiemu, choć nie dziękujemy; gdyż on spełnił obowiązek talentu tylko, którym Bóg ubłogosławił ludzi na to, aby jego prawdy głosili.

Może przed takim oddziaływaniem literatury, wstyd ludzki nie dozwolił tym, których pan Sowiński nazywa *Beati* mianować ludźmi czynu przemysłowców, sportsmatów, błaznów salonowych; *wiedzą* archeologiczną strupieszalność lub zastosowanie podwójnego rachunku do życia; *niewiastą* wszelkie istoty nie męskiego rodzaju, ubierające się, rozbierające i papłące; *ruchem* zabiegi kramarskie; *postępem* ubranie się w liberyę materyalnego rozwoju. Może powoli, nauczycywszy się znaczenia rzeczy, rozplątawszy ich właściwe nazwiska z bałamuctwa praktycznego i reklamowego języka, zapagniemy aby w istocie istniały, aby się w życie wcieliły. A wtedy, jak ów Grek z poematu p. Sowińskiego, radzi będziemy powiedziec:

„Patrz, Andrea, jak wszystko w tym ludzie się sprzega
Do ogromnego celu“...

Apollo Korzeniowski.

Przesyłając przekład sonetu Michała Anioła Buonarroti.

Więrsz do....

Patrz, przyjacielu! jak ów mocarz dłuta,
Ten stary Michał myśli swe układa;
Jak tu w marmurze każda głoska kuta,
Jak pomysłowi słowo odpowiada.

Znać wprawna rękę po pewności razu
I ciężką drogę po zadany wrębie,
Jak marmur prawdy, duszy tej żelazu
Otwiera swoje tajemnicze głębie.

Mocą zaprawdę toć zawsze anioła
Po ciemnych wodach kruchą łódką miota,
I już mu w wieczność leca krople z czoła,
Z rąk narobionych od dźwigania miota.

Sam on dobija do tej baszty brzeźnej,
Widnej przez całe wieczności przestrzenie,
Gdzie niewiadomo czyli anioł śnieżny,
Czy go ogarną lecające płomienie.

Płynie—a za nim jasny chór niebieski,
Który znikomy stał przypomina,
Niebo zakłete w nieśmiertelne freski,
Cichemi usty modli się Sykstyńca.

Gdy wieczność duszę od czasu oddziela
I skronie poty opływają trwożne,
Jak za ostatnim z ludu Izraela
Mojżesz obraca czoło swe dwurożne,
Wioslarzu steruj, morze to wielmożne.

T. Lenartowicz.

Młodość, uczucie, wiek dojrzały.

(Do.....)

Chcesz abym ci coś napisał, według danego założenia, i wybrałaś młodość, uczucie i wiek dojrzały.

Nie wiem jak się w twojej duszy zarysowały te pojęcia—jaki plan obejmują twoje żądania—jakich dążeń, jakiego rozwoju pragną? Wszystkie te pytania zbyłaś milczeniem; a jednak ważnym byłoby dla mnie myśl twoją zbadać, zajrzeć ci w duszę, zaglądnąć do serca i tam wyczytać zagadkę twoich chęci.

Lecz gdy wola twoją zawarte są tajemnice, w których się przechowują świętości twoich uczuć, gdy zuchwale nie chcesz podglądać skrytości, które twa skromność osłania, gdy nawet wszechwładną ręką ducha nie chcesz podnosić zasłony, jaką jasne twoje myśli omgłiła, gdy wreszcie przyrzekłem woli twojej zadość uczynić,—zasiadam spełnić coś kazała. Jeżeli ci się czy forma, czy obróbenie zdadzą niedokładne, nie zaspokoją twoich chęci, nie rozjaśnią tego coś właśnie na jaw wydobyć pragnęła,—wiń najprzód niemoc mego usposobienia, a potem trochę i owę mgłę zamroczną, co osłaniała przedemną twe chęci.

Kiedy Bóg promień wszechmocnej miłości swojej posłał na świat i wsparłszy go wszechmocną wolą, dał być wszechstworzeniom, wtedy i naga pierw ziemia zajaśniała cudownymi barwami piękna i wdzięku. Rozstąpiły się zebrane oddzielnie wody, odsłoniły góry—i cały majestat bezmiar morza, zlany z olbrzymimi górami, miał budzić pojęcie niezmierności i ogromu.

Dalej u podnóża tych gór rozesała się łąka, jak najcudniej odwzorowany kobierzec. Na tle zieloności świeżej, czystej, okiem dającej odgadnąć miękkość i delikatność tych puszystych włosków ziemi, wydziergano różnobarwnymi kolorami miliony kwiatów. Jedne z nich, skromnie schylone na dół lub miękką osłonioną trawką, jak wstydlive dziewczki kryją swe wdzięki przed okiem natrętnym. Inne wyżej podniosły główki, jakby ciekawe i nieśmiałe chciały spojrzeć wokół siebie,—a jednak pełne trwożnej bojaźni zaledwie wyjrzały przez rozslonione trawki, już się z pośpiechem nazad chcą ukryć, i jak tajemnicze Wschodu huryski, osłaniając swe wdzięki welonem ściągniętych listków korony. Inne śmielsze, podniosły pięknych barw i kształtów kieli chy, jakby się pochłubić chciały pięknością: to znowu drzącami migając płateczkami, jakby mrugały do słońca i z zalotności umizgiem wyciągały ku niemu oddechy, by rokoszy ożywcze promienie z niego zaczerpnąć. Tamte znowu z dumą i śmiałością wzniosły pysznie strojne główki swoje, jakby chciały zajrzeć słońcu w oczy i pragnęły obaczyć z kądem im płynie życie, z kądem ciepłe tchnienie przychodzi, co rozbudza w nich siły, co coraz to w nową krasę umoczonym penszlem maluje te cudne gwiazdki różnokolorowych barw, niezliczonych kształtów, rozsypane po tej łące okiem nieobjętej, jakby wróżącej nieskończoność przestrzeni. A od

tych cudownych barwą i kształtem błyskotek, co niby iskry różnokolorowe drogich kamieni, bawią oko migocząc po tej uroczej dolinie, rozchodzi się woń rokoszna. Zmieszane te oddechy kwiatów roznoszą jakby cudownej ambrozji zachwycające kadzenia.

A tam znowu, ponad te cudne natury pieszczoski, podnoszą wspaniale głowy niezliczone drzewa, pyszne rozrostem, poważne ogromem, uroczym kształtem, ozdobne zieloną barwą liści, osypane kwieciami, wonią balsamicznym tchnieniem, szumiące przebiegającym po nich wiatrem: niby zespolenie piękności, wdzięku, powagi i wielkości, wołające poważnym szmerem całą świat do bacności, do czci.

Wśród tych drzew i po tych łąkach przechadzają się lub poskakują tysiące zwierząt, przeróżnych kształtem, strojem, budową, kolorem. W nich doskonałość zupełniejsza form, swoboda ruchów, to jakby zadumywanie się nad sobą, ta wola, ta chęć, to kierowanie instynktu do celów pewnych, ta wyższość fizycznego ustroju, to stopniowanie doskonałości, każą wyższy ich rozwój przeczuwać.

Patrz! tam znowu latają nieprzeliczone gromady ptaków, zachwycające pięknymi kształtami, szykownością ruchów, urozmaicone najpiękniejszymi sukienkami. Są to jak kwiaty przesliczne, migające wśród zielonych barw gałęzi. A toż co znowu? Co to za gwar, co za harmonia uderza uszy twoje? Jakaż to muzyka zabrzmiała? Cały las zaśpiewał. Odezwały się pieszczotne nuty po polach i łąkach nad tobą, pod tobą, wokół, wszędzie, i długo zasłuchałeś się w tej dziwnej harmonii, w tej pstrzej mieszaniu tonów słodkich, pieszczonych, dzwicznych, uroczych, w tym jakby hymnie czci i miłości stworzeń dla Stwórcy, nim dojrzałeś że śpiewakami hymnu tego są owe przesliczne, uroczyste gromady ptaków, co unoszą się lekko w powietrze, w przestrzeń, jakby zwiastowały tchnienie ducha, co melodią rozgrzmiewającą w obłokach, jakby głosiły że z tamtych wyżyn niedościgłych oku, płynie wszechsiła, wszechżycie.

Tu znowu, nad temi łąkami, widzisz miliony precudnych muszek, motylków ulatujących ponad kwiatami, że ci się zdaje jakby nowe plody wyległe z kwiatów, świeższe połyskiem, pełniejsze życiem, ożywione promieniami słońca, bujały ponad rodziną swoją i całowaniami rozdzielały swą miłość, napawały wzajemną rokoszą, malowały odcień wyższego, czystszygo uczucia.

Ale wszystkie te piękna, zmysły tylko nęca, do zmysłów przemawiają. Niemasz łącznika, coby je w jedną spoił, całą różnorodność ich ogarnął, zespolił i zestosował, coby je życiem ducha ożywił. Cała natura wiadna, piękna, świeżością i młodością strojna, a przeciwieństwo martwa, ani siebie pojąć, ani sobą nacieszyć się nie umie. Jest tam życie, ale życie jakby nieme, zmarłe. Jest dźwięk, ale niema słowa melodyi, tego słowa, coby zadrgało życiem, coby przetrwało chwilowe wrażenie, coby pomyślało o Stwórcy, pojęło bratnie zjednoczenie wszech-tworów.

Wtem Bóg w zlepek wszechwładnych rąk swoich, wlał skończoną doskonałość form ziemskich, i stworzył człowieka, wznosił czoło jego ponad poziom, aby patrzył w górę, jakby już tą postawą wyższe mu przeznaczenie wskazując; ale mimo całą zupełność tej piękności cielesnej, było to jeszcze piękno roślinne, martwe, bezwiedne.

Aż promień światła Bożego zestąpił na człowieka. Cała istota jego wstrząsała się pod tym cudownym dotknięciem, rozslachetniły się rysy jego, czoło zaświeciło rozumem, oczy zabłysły niepojętym wyrazem zacności, godności i świętości. Wnet całe przyrodzenie inne miało wyraz, inne stanowisko. Piękność jego była pojęta, a cały rozwój następstw zrozumiany. Nowe życie wstąpiło w naturę; bo je człowiek tchnieniem wieczności ożywił: młodość natury, zespolona z młodością człowieka, utworzyły jedność, całość, skończoność.

I zachwycał się człowiek rokoszą i nie znał granic swoim uniesieniom, aż olśniony cudami potęgi i uroków świata, zatopił się w nim i zapomniał o wysokim swoim początku, i nie umiał dostrzedz tej nici, co go z Wszechstworcą spajała. Piękność zmysłowa wyłącznie nim zawiadła, rokosz wchodząca wń przez wszystkie drogi. Pod jej wpływem człowiek rozslabł, rozmiękł i nie umiał nad nią zapanować. Nie chciał jej ostudzić, uszlachetnić owym promieniem niebiańskim, który sam wyłącznie posiadał.

Długie wieki pracy nie zdołały go całkiem podźwignąć z tego zaślepienia młodości i podnieść do dojrzałości rozumu, do godności uczucia. Potrzeba było na to wyłącznej łaski Boga, potrzeba było cudu objawienia i wcielenia, aby ludzkość z tego sponiewierania podźwignąć. Z tym odrodzeniem człowieka przysła pełność uczuć, piękność uciech, świętość rokoszy uzacnionych duchem, spokrewnionych z Bogiem.

To co się z postępem ludzkości stało, w takimże spo-

sobie objawia się i w pojedynczych osobowościach. Ich młodość ma powinowactwo z młodością społeczeństw.

Młodość, to najpiękniejsza chwila życia, to kwiat ludzkości wszystkimi cudami piękna zdobny, uroczą kształtnością form, świeżość kwiecistego połysku, wonność rokosznych uczuć, niezmierna rozmaitość wrażeń, drażliwością i nowością rosnąca; wszystko to w młodym sercu wre i do uniesień pochwyca, pali się w młodej duszy i do poświęceń sposobi.

Jest wszystko co unosi, zachwyca, zdumiewa, i tylko czekasz z obawą zyczliwości i miłości, co w tym natłoku wrażeń na wierzch wypłynie, co się wybitniejszym charakterem przejawia, na stałą skończoność wykształci. Jest to bogata mina, pełna nieprzebranych skarbów, ale też pełna zasypujących je szpetnych gruzów, pełna zalewających spleśniałych napływów. Pierwsze odrzuć, drugim daj upływ i przez to cel wyższy odłoń; a w całym blasku obaczysz piękność młodzięcia.

Jak dla odrodzenia człowieczeństwa potrzeba było cudu objawienia, tak na odsłonięcie jego piękności potrzeba młodzięciu cudu natchnienia, potrzeba ożywczego powiewu ducha.

Rozpal w tej duszy ogień świętości, a wypali brudy cniące piękności. Daj rozrost pojęciom, wykształć je rozumem, nauką, przepelnij prawdą, a odepchniesz te potoki namiętności, co ludząc mamidłem uczuć, nęcą do rokoszy niegodnych jej świętego początku.

Namiętność i uczucie bierzemy nieraz za jedno; a są to całkiem różne tchnienia poruszające człowiekiem. Człowiek, to istota dwulica, dwuzmienna; ta jego dwoistość wszędzie widna. Z niej płyną wszystkie jego czynów odmiany, wszystkie osobowości i różnice. Człowiek-ciało — to zwierzę, to zmysłowość, w niczym nie różna od zmysłowości innych zwierząt. Też same potrzeby, też konieczność ich zaspokojenia, też ustawna przemienność, też nieprzerwane przeobrażanie się, też ciągle myślenie o sobie, o uprzyjemnianiu swoich wrażeń, o dogadaniu wszystkim zachęciom, wszystkim popędom. A że nic nie hamuje tych pożądań, przeto one rosną, gwałtowność ich nie zna granic, nie ma pomiarkowania. Wszelki opór lub przeszkoda oburza: więc uparcie, bez oględności lub zwierzęcość, aby je złamać, bo szuka tylko dogodzenia żądzy. Tu wytrwałość jest uporem, nie płynie bowiem z rozumu, z przekonania, z uczucia, ale z zachęcenia, z pożądlivosti. Nieraz czuje zło człowiek, tai się z niem, omawia je i osłania jak można przed cudzym okiem, a nie ma siły, nie ma woli go odrzucić; bo wola jego w kale utopiona, bo siła jego czysto ziemiska, nie pojmuje, lub nie chce pojąć konieczności odepchnięcia upodobań co go nikczemnią.

Człowiek - duch, to znowu inna istota. Tu życie stałe, niezmienne, oparte na owej świętości co nas z Bogiem łączy, rozświecone owym niepojętym związkiem stworzenia ze Stwórcą, pełne szlachetności, zacności, wytrwania, dążące jedynie do prawdy, do piękności moralnej, do poświęcenia. Tu ja — osobowość, niknie prawie z uwagi, bo zawsze ogół, dobro społeczeństw, jest wyłącznym celem, stanowczym dążeniem człowieka-ducha. A że z każdym krokiem stawianym naprzód, człowiek-zwierzę opiera się swemu duchowi, zład w ustawnej z nim walce, nie może się nauczyć duch owego pragnienia bez granic, bez pomiarkowania, nie może wyrobić w sobie owej żądzy wściekłej, bez hamulca. Stałość, siła woli usiłuje złamać napotykańne przeszkody, ale te przeszkody, choć drażnią, nie rozbudzają wściekłości; przeciwnie, ledwie nie powiem że rodzą jakiś rodzaj rokoszy, nadając wyższą wartość uczuciu, które rośnie z każdą walką, z każdym oporem, z każdą przeciwpianą boleścią, z każdym otrzymanym zwycięstwem. Człowiek-zwierzę, słucha swoich popędów, człowiek-duch swoich natchnień; pierwsze rodzą namiętności, z drugich powstaje uczucie.

Im więcej zwierzę przemaga w człowieku, tym silniejszej potrzeba potęgi, aby skruszyć i odeprzeć burzę namiętności; że zaś w młodym siły fizyczne najpotężniej są rozwinięte, zład nieraz przemagają i nadają uczuciom namiętności cechę. Jak zwierzę i duch kojarzą się i jednoczą w człowieku, tak i ich wyraz ostatni i ostateczny ich rozwój — uczucie, ku ziemskiemu celom skierowane namiętnością, przybiera formy napiętnowane zwierzęcością. Toż samo uczucie, rozumem, przekonaniem ku zacności zwrócone, niebiańskimi cudami rozświecła, niepojętym szczęściem ducha przejmując.

Lecz jeśli młode serce wyrośnie w prawdzie i szlachetności, jeśli pokocha piękność prawdziwą, tę piękność na promieniu wszechmocy zawieszoną, a gorącą żywość zmysłowego, silnego ustroju, na przejawienie tylko uczucia obróci, jako formy użyje, o wtedy zaświeci ono potęgą nieograniczoną, pięknnością jakiej

nie nie zrówna; wtedy co chwila nowem się życiem przejawia, nową potęgą zajaśnieje, nową pięknnością zachwyci; wtedy pojawi się zdumionemu światu, czy Małgorzata z Zembocina, czy Karliński, Tarnowski, Czarniecki, Kordecki, Rejtan lub Puławski.

Najszczytniej pojął nasz wielki poeta tę nieskończoność uczucia w młodym, i tę walkę, to przemaganie w nim naprzemian odmiennych pierwiastków. I tak Gustaw w uniesieniu niebiańskiego zachwyty woła:

Ach, ja ją tak na martwym ubóstwam obrazku,
Że nie śmięm licem skazić jej bezbronnej ustek,
I gdy dobranoc daję przy księżycu blasku,
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Nie śmięm rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,
Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię.

Wszędzie ta postać anielska unosi się nad nim, panuje, prowadzi go i zachwyca; czuje on że ogień ducha jego nigdy nie zagaśnie, czuje to żywo, gorąco, namiętnie.

Wtém zjawia się przeszkoda; silna zwierzęcość przemaga, zmienia to uczucie, wytepia jego świętość: następuje chwila przemagania ziemi nad niebem, niknie uwielbienie dla ideału duszy. Gustaw woła we wściekłym oburzeniu hamowanej żądzy:

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszcza anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli....
Przebóg tak ciebie oślepiło złoto,
I honorów świecąca bańka wewnątrz pusta.
Bodaj... niech czego dotkniesz, przeleje się w złoto,
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto i t. d.

Po chwili tego gniewu i niby wstrętu, znowu duch odzywa się, przemaga. Pod jego wpływem Gustaw opowiada, jaka jest jego miłość.

Ja, gdybym równie był panem wyboru,
I najładniejszą postać dziewiczą,
Jakiś Bóg dotąd nie pokazał wzoru,
Piękniejsza niżli aniołów oblicza,
Niżli sny moje, niżli poetów złudzenia,
Niżli ty nawet — oddam ją za ciebie,
Za słodycz twego spojżenia.
Ach i gdyby w posagu
Płynęło za nią wszystkie złoto Tagu,
Gdyby królestwo w niebie,
..... Oddałbym ją za ciebie.

To znowu budzi się szal namiętny, i wzburzony wściekłym gniewem woła, dobywszy sztyletu:

Błyskotkę nosię dla jasných panów,
Ot — tém wina utoczę na ślubne toasty.
Ha! wyrodku niewiasty!
Śmiertelne cisnę w kółko szyi twojej wieniec!
Idę jak moje własność do piekła zagrabić,
Idę.....

Wstrzymuje się, zamyśla, i w nagłym przejściu do rozczulenia, z niewypowiedzianym uczuciem woła:

O nie! nie... nie... żeby ją zabić —
Trzeba być trochę więcej niż pierwszym z szatanów.

Widzimy, jak tu ciągle i wszędzie uczucie ducha z czuciem zwierzęcia skojarzone, rozrostem potęgi ziemskiej rozparte, w różnych się formach objawia, aż w końcu burzą młodego szata pochwycone, doprowadza do samobójstwa; a przy pomyślnym końcu mogło doprowadzić do zniechęcenia, oziębienia, odmiany. Takie bowiem wyteżenie gwałtownych wzruszeń prawie nie może trwać długo, bohy siły największe zmarniały i pękły.

Zawsze jednak w takim tylko razie stanie się ta odmiana, kiedy piękność duchowa nie ma siły władać zwierzęcością człowieka, kiedy uniesienia ducha są jakby wywołane przez popęd ziemski, aby dać świadectwo tylko o wyższym stanowisku moralnym, o rozwoju duchowym, co w ślepotę zmysłowej chwilowo tylko cuda piękności moralnej uwielbia.

Z dojrzałymi laty dzieje się zmiana w przejawie uczuć. Zmiana ta zależy od rozwoju usposobień za młodu. Kto w kwiecie życia nie hamował popędów ziemskich, kto nie umiał hartem ducha położyć hamulca rozpieszczonemu ciału, kto zawsze siebie nad innych przenosił i bliźnich uważał za posługaczów swych chęci, kto wszelkie zachęcenia swoje potrzebował i starał się przedewszystkiem zaspokoić, ten w starszym wieku staje się obrzydliwym hołdownikiem zwierzęcości. Nie u niego świętego, nie wielkiego, społeczność mu niczem, ojczyzna urojeniem, poświęcenie nierozumem, zapal szalenstwem, przyjemność, korzyść, dogodzenie sobie — wszystkiem.

Jest to ów Epikurejczyk, co z próżnością mów, czynów, upodobań, przejmując wstrętem ludzi ducha, od którego cnota i zacność stronią. Bieży tylko do niego jak na lep młódz nierozważna i nadpsuta, choć mu nie niesie ani czi, ani poszanowania, choć instynktem sponiewieranie człowieka odgadła. Coż ją tam pociąga? Oto usposobienie do zepsucia, oto zwolnienie surowości jaką cnota nakazuje, oto dogodzenie rokoszom ciała, oto zdjęcie wędzidła co żądze trzymało na wodzy. Cóż za tēm idzie? Sponiewieranie ducha i moralne znikczemnienie. Taki starzec, jest najulu-

bieńszym pracownikiem szatana. On, szerząc zepsucie, wszelką zacność podkopuje.

Albo znowu, jeżeli młodzian był owem rzadkiem zjawiskiem człowieka, co nie ma (jak mówią) serca, w którym lód sobkostwa zamroził wszelkie tchnienie szlachetności, zniszczył wszelki ślad uczucia, wtedy młody, sobą zajęty, w sobie widzi owę doskonałość nieznaną światu, siebie nad wszystkich przenosi i wszystkiemu daje wartość stosunkową do przyjemności lub korzyści jakie odbiera. Z takiego samoluba, zwyle samotnego, wyradza się w dojrzałym wieku sknera, któremu chęć zbiorów zastąpiła sumienie, honor, zacność, dostojność; w nim duch jakby zamarł. Znika tam prawie cała godność człowieka i jedynie w dowcipie na wyszukiwanie zysków, w sile woli na dręczenie nawet siebie, by ograniczyć rozchody, jedyny jest ślad że to człowiek myślący, że to także istota w której świeci promień ducha bożego; tylko że duch ten, skrepowany cielesną ziemi sukienką, nie otrzymawszy rozwoju, zastygł niejako i stał się niewidzialny pod naciskiem przewagi ziemskiej, zmysłowej.

Wszystko w nas wymaga rozwoju, aby na widnią wystąpiło. W którą stronę obrócisz starania, tam i owoce zbierać będziesz. Ta możność doskonalenia się jest jednym z piętn boskości naszej. Potem już, wpływem ustawnego parcia jakie dajemy duchowi naszemu, w miarę jak skierujemy to nasze doskonalenie się, wy-ciska się piętno charakteru i usposobień człowieka, od-lęwa się i tejeje ta forma, co w nim przez cały był jego na ziemi przeżawa.

Powyzsze dwa przykłady sprawiły w nas niesmak i zmusiły żeśmy ze wstrętem odwrócili oczy od tych obrazów spodlenia człowieka. Lecz znowu, jeśli młody człowiek pełen uczucia, pełen życia, cnotą i zacnością podniósł jeszcze moralną swoją wartość, gdy uroczy kwiat młodości przyozdobił jeszcze promieniami cudownymi ducha, rozświecił niemi wszystko w około siebie i pojął uczucie w całym bożem jego pięknie; jeśli tak zapanował nad ciałem, nad pochopami ziemskimi, że one go słuchają i jakby władcy swemu hołdują, to wtedy młodzięciu świeci nam anielską pięknnością, urocze blaski biją mu z lica, świętość i niebo patrzą z tego pięknego oka, siejąc szczęście i wesele w około siebie, a szczęśliwy kto sercem, kto duchem spoił się z taką anielską, z taką prawie czysto duchową pięknnością. Lecz najszcześliwszy ten, kto z nią spojony uczcił i uszanował tę świętość i tak troskliwie czuwał nad nią, że nie starł tej barwy niewinności, co w jej licu rumieńcem zachwycenia, rumieńcem skromności płomienieje.

Taka młodość, rzadko spotykana w towarzystwie męzczyzn, jest jakby wyłącznym przywilejem kobiet; one od najmłodszego niemowlęctwa tak są prowadzone, że ów duszący zaduch ziemski od nich się usuwa i odepchnięty tworzy jakby mgłę ciemną, co przykrywa ziemskość, cielesność i nie da jej młodemu sercu dopatrzeć. Ku niebu więc i ku świętości podąża duch i zdobi się a brylantuje pięknosciami bożemi, aż je wcieli w siebie, w nich się rozrośnie i zachwyci nas blaskiem niebiańskim, jaki tak rzadko na ziemi znajdujemy. Taka była młodość, takie wychowanie świętych i czcigodnych prababek i matek naszych, taka i dzisiaj cudownym jest piętnem wielu uroczych dziewcz polskich. Szkoda że to tam tylko, gdzie jeszcze nie doszedł ów zgubny postępek upadku, co całą duchową piękność, ów idealny cud dziewictwa, usiłuje zetrzeć z owych liców skromnością i świętością anielsstwa promieniejących.

Taka młodość w wieku dojrzałym daje albo szczęście niewypowiedziane uczucia i rokoszy domowego pożycia, albo skierowane ku źródłu wszech uczuć, ku Bogu, stwarza sług bożych, co światło wiary szerzą i roznoszą po świecie, co zasiewają nasiona cnoty, których owoce rodzą szczęście i rozwój moralny ludzkości.

W miarę jak się rozglądam w tym przedmiocie, rozslaniają mi się różne widoki, różne względy, które gdyby chęć pozbiierać, potrzebowały więcej miejsca, obszerniejszej pogadanki, coby daleko przeszedłszy zakres mi wskazany, jeszczetylby całego rozglądu nie zrobiła, jeszczetylby ani wszystkich szczegółów wyliczyć, aniby ich rozpatrzyć nie mogła. Z lekka więc tylko zwrócę twą uwagę na to rozległe pole, niepoliczoną mnogością przeróżnych porostów okryte.

Wiele tu działów, poddziałów dałoby się utworzyć, patrząc tylko na stopniowanie uczucia, na jego związek rozmaity z ciałem i mniejsze lub większe jego wykształcenie. Wieleby to można mówić o różnych w młodości zjawiskach i następstwach z nich wykazać i rozwinąć, bo każda starość nosi cechy nazwyczajne i upodobań młodości.

Patrz! ten młody, w kwiecie wieku, a przesycony

życiem, a zniechęcony do świata. Szczęśliwy a utyskuje na wszystko. Tak go zbytecznym dogadzaniem poposuto że już go nie zajmuje nie bawi. Wszystkie dłań cze, martwe.

Ów drugi do wrzuseń nawykły nie pojmuje życia bez gwałtownych wstrząśnień, zna ze świata tylko pianę burzą fali namiętnych wyrzuconą. Życie skromne, poczciwe, życie pracy i uczucia nudzi go jednostajnością, gniewa umiarkowaniem.

Inny, z razu rzucił się w objęcia świata, pełen uroku i miłości; ale raz i drugi zawiedziony, zdradzony, już w świętość uczucia nie wierzy, już bytu jego na ziemi nie przegląda.

Inny jeszcze: zaslepiiony nauką, tak się z nią spoił, że nad swojego wydziału zajęcia nic nie zna, nie pojmuje, na nic uwagi nie zwraca.

Tamtemu znowu bóstwem rozum, jemu hołdnie, na nim wszystko opiera.

Tam znowu ustawnie gruchająca gołąbeczka, pieści się marą uczucia, nie szukając jego prawdy, ma je w pojęciu, w mowie, a nie ma w duszy i w sercu. Kocha uczucie, a nie umie kochać ludzi. Płacze nad cierpieniem pieska faworyta, a nędzę ze wstrętem omija. Pieści i psuje niegodnego ulubieńca, a zapomina i zostawia w kłopotcie, w niemożności kształcenia

się, najzaciejszego młodzieńca i blizkiego krewnego; bo go nie ma pod bokiem, bo nie patrzy na niego, bo w lenistwie rozpieszczania, czy kaprysu, nie chce i nie może pamiętać o niczym, cała pod wpływem otoczenia obecnego; bo ona się zajmuje tamtym nie z uczucia, ale ot tak z nudów, dla zabawki, jak dziewczynka lalką, którą zepsuwszy precz odrzuci, zapłaczę może za nią i wnet zapomni.

Tu znowu wdzięk powierzchowny zbyt zajmuje zakochaną w swój buzi pieszczoszkę. Chwał ją, a niebo jej otworzysz. Ona potrzebuje tłumy czcicieli, jak aktorka oklasków; dla dogodzenia tej próżności poświęci męża, dzieci, cześć, imię, przyjmie na siebie hańbę i okryje się nią, jak najmilszą ozdobą.

Owdzie okoliczności w ład idące, wyrodziły zarozumiałą pewność, odebrały wiarę w cnotę i zacność i t. d.

Narody, równie jak pojedyncze osobowości, mają chwilę tego panowania ziemi, lub przemagania ducha. Są narody wyłącznie, że tak powiem, cielesne lub duchowe. Hunnowie za Atylli i za późniejszych daleko

wielce się przyczyniają do ozdoby smutnej zkadnąd tutejszej okolicy.

Zamku tego nie należy brać za jedno z Mirowem pińczowskim, w powiecie stopnickim położonym, na którym się Myszkowscy margrabiami pisali, jak to mylnie uczynili niektórzy z naszych historyków - geografów. Gmach ten od strony południowej w okrąg, od północy zaś prosto zabudowany, ma postać nieforemnej trójkąta. Zda się iż założony został w XIII wieku, lecz na to żadnych niema dowodów. Utrzymuje się tylko miejscowe podanie, że początkiem swoim sięga czasów panowania Kaźmirza IIIgo i że wzniesiony został wraz z zamkiem bobolicim, z którym podziemną drogą się łączył. W rzeczy samej odległość jego od Bobolic nie jest wielką, zaledwie bowiem trzy wiorst wynosi. Wiadomo zaś z historyi, że już w roku 1370 otrzymał go w lenność Władysław książę opolski, siostrzeniec króla Ludwika, lecz nadużycia jakich się dopuszczał w całej okolicy, zmusiły Władysława Jagiełłę do odebrania mu tej lenności. Jakoż w r. 1396 wysłane wojsko zagniło załogę Opolczyka do poddania zamku bobolicznego i sąsiednich grodów, a między temi i zamku w Mirowie. Odtąd owe warownie, wraz z należącymi do nich włościami, przeszły do korony, dopóki, jak wiele innych dóbr królewskich, nie dostały się w ręce prywatnych. W ten sposób oba zamki były posiadłością zamożnych rodzin tutejszych, najprzód Myszkowskich, a w ostatku Męcińskich. Atoli już w r. 1661 zamek mirowski przestał być mieszkalnym, tak dalece, że kiedy w r. 1683 Jan III Sobieski, idąc na wyprawę pod Wiedeń, przez kilka dni tu obozował, nie mógł przyjąć w mury swoje króla-bohatęra, tylko w rozłożonym pod nim namiocie dawał monarcha posłuchanie szlachcie okolicznej i rozporządzenia wojskowe wydawał. Ręka czasu, a bardziej jeszcze ludzka niedbałość, dopomogły do dalszego jego zniszczenia, i dziś gołe tylko mury, niespożyte niczym głazy i resztki wieży jedyną są pozostałością świetnego niegdys zamku.



RUINY ZAMKU W MIROWIE. (Cynkotyp J. Lewickiego.)

czasów, zachowali i udzielili swoim pokoleniom tego ziemskiego czyli zwierzęcego pierwiastku. Chłirczy i inni, mimo szerzącej się oświaty, jeszcze się zmysłowością kierują, jeszcze jej piętno noszą.

Ale zostawmy na stronie owę nieskończoną charakteru odmianę, a biegnąc do końca, spytajmy co to jest uczucie? Nieraz jużemy o niem mówili i stosowali je i rozmaite jego stopnie przeglądali, a jeszcześmy nie rzekli ani słowa o jego początku, o jego znaczeniu.

Że uczucie w nas, nie zewnątrz nas mieszka, że ma byt w duchu, nie w cielesnym naszym, że wznosi ducha naszego do sfer nadziemskich, że tęsknotą goni za nieskończonością i po za światem szuka dla siebie stałego siedliska, tam trwały byt swój przegląda, — ztąd widzimy że ono z ziemi nie poczęte, że wyższe i szlachetniejsze jest źródło z którego wypływa, świętszy jego początek.

Odejmiemy człowiekowi uczucie, cóż się z nim stanie? jakaż będzie różnica między nim a zwierzęciem kierowanym instynktem? Żadna! Chybaby za nią brać możliwość łatwiejszego dogodzenia sobie i zaspokojenia swoich żądź, łatwiejszego usunięcia lub odparcia przykrości i przeszkód, jaką człowiekowi poda zimna, martwa litera rozumowania. Uczucie więc stanowi zacność człowieka: ono go zdobi i wykształca, ono go wznosi i uszlachetnia, przez nie wlatuje on nad poziom ziemski, unosi się po nad światy, godzi i wiąże się ze Stwórcą wszech rzeczy. Uczucie, to najcudniejszy kwiat nieba, promieniejący bożą światłością. Z Boga więc płynie uczucie, w niem jedyne źródło godności naszej. Ono jest owym promieniem cudownym, co wlał w człowieka wyższość, dostojność, co go nad świat zmysłowy podniosło, co w nim rozbudziło i zapaliło ten piękny ogień duchowego życia.

(Dokończenie nastąpi.)

RUINY ZAMKU W MIROWIE.

Krakowska ziemia, dziś w skład gubernii radomskiej wchodząca, nadzwyczaj jest bogatą w starożytne zabytki świeckiego budownictwa. Wszędzie, czy to wśród okolic widokami czarujących, czy nawet na mniej powabnych płaszczynach, rozsiane są zwaliska dawnych zamków obronnych, lub sterczą ruiny wspinałych niegdys siedlisk możnowładzców polskich. Do rzędu takich należą ruiny znajdujące się we wsi prywatnej Mirowie albo Mirowniku, w powiecie olkuskim położonej, które dosyć są charakterystyczne i

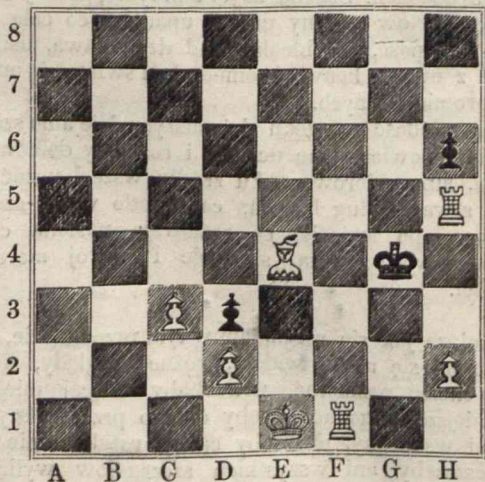
SZACHY.

ZADANIE LXI.

(Ks. W. G. z Mianocic.)

Białe zaczynają i dają mata za piątym posunięciem pionem D 2.

Czarne.

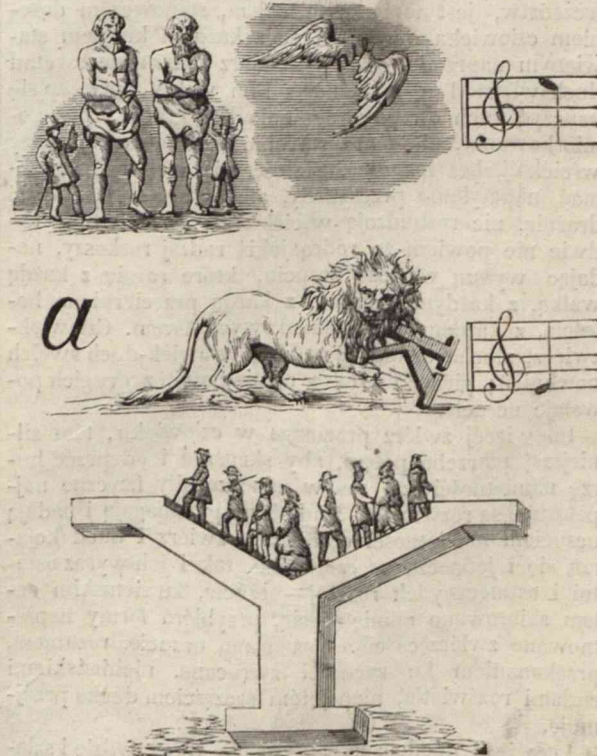


Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 60.

- | | |
|--------------------------|--------------------|
| Białe. | Czarne. |
| 1) E 5 — G 7 † | 1) F 8 — E 8 |
| 2) C 6 — C 8 † | 2) A 5 — D 8 |
| 3) E 4 — G 6 † | 3) H 5 — G 6 biorą |
| 4) G 4 — A 4 † | 4) B 3 — A 4 biorą |
| 5) D 5 — C 7 † i mat. | |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 82.

Kto o karze pamięta, na nią nieprędko zastuży.